Gościniec wiódł do zagajnika na polu Rybaka. Ciągnął się od przedpola Jarmarczego, aż do skrzyżowania z Bobrówką obok rzeczki Iglicy. Tuż obok omówionego wcześniej pola Rybaka, płynął leniwy potoczek z oberwanymi brzegami. Chłop – śmierdzący tak, jakby giermek ukochanego rycerza; przypuśćmy z Białoglicy, podniósł ogon chyżego konia – zanurzał w rzeczce swe napuchnięte nogi. Ptaki od gospodarstwa trzymały się z dala, zapewne od smrodu, który wyziewał z niego. Wiatr powiewał w stronę wsi, od którego chłopom i chłopkom aż oczy łzawiły i skręcały się włoski w nozdrzach. Komponenty barwierskie, bielidła, ługi, kwasy, potaże, glinki, popioły i łoje były dostatecznie smrodliwe. Wszystko to nie umywało się do odoru używanego w zakładzie Rybaka, podstawowego środka barwniczego – wystałego ludzkiego moczu. Rybak popatrzył na niebo i pomyślał o Bogu, a raczej o kapliczce, którą chciał wybudować na swym polu. Ludzie ze wsi Bobrówka, zakazali zbliżania się do kościoła Rybakowi, a i do wsi czasem. Gdy tylko paru pachołków wracając od kupców z Jarmarczego, nie zauważali na polu Rybaka, rozpędzali się w bieg po gościńcu i wpadali do Bobrówki z krzykiem. Albo zauważali wypychanego widłami, bądź wiosłami (Bobrówka toż wieś nad dość sporą rzeką do której wpływa Iglica, nazwy nie napiszę, toć nie pamiętam) Rybaka, albo grzecznie odchodzącego, mającego za plecami krzyki i wrzaski wydobywające się z gardzieli mieszkańców Bobrówki. Był sam. Toż to normalne, że żadna dziewka go nie chce na oczy zobaczyć, co dopiero z nim żyć, nie mówiąc o chędożeniu. Zapytacie pewnie, dlaczegoż on zwie się Rybak. Pierwsza myśl jaka wam przyjdzie do łba – toć przeprosim bardzo – głowy, rzecz jasna, to pewno myśl o nadrzecznej osadzie. Trudni się rzemiosłem rybackim, wypływa na połowy, rozładowuje zbliżające się do brzegu barkasy z rybami. Jeździ zapewne na Jarmarcze przedpole, by sprzedawać różnego rodzaju rzeczne stworzenia… Generalnie rybakiem powinien kurwa być! Już stąd przeprosim raz jeszcze wszystkie panienki czytające me słowa. A tu gówno prawda! Rybak to Rybak, koniec dysputy. Ma pole, ale nic na nim nie uprawia, oprócz zabawiania się w kolorowanie tych cholernych płócien. Ma gospodarstwo przy gościńcu? Ma. Powinien hodować jakieś zwierzęta? Powinien. Handlowałby, przynajmniej grosz jakiś by zarobił. Toć ludzka pracowitość jest już na wyginięciu! Marne grosze człek zarobi na Jarmarczym. Bo do Jugowicy mu się jechać nie chce. Za dużo groszy by ta wyprawa kosztowała. Toż trza by ludności trochu więcej zaciągnąć, jakiś piechurów z bronią, bo niebezpiecznie po Iglickich lasach samemu chadzać. Ale człek przyzwyczajony do własnego miejsca, gdzie mieszka, pracuje, ma dziewke przy sobie, przynajmniej chędożyć może, a nie na wyprawie jakąś kurwe brać z gospody.

Wracając do sprawy Rybaka, bo to przecież rozgadanie mnie wzięło, jego przypasany do osoby przydomek wziął się stąd, że primo: śmierdzi jak prawdziwy rybak po połowie. Toż przecież normalne, że rybak się myje, nawet ten najbardziej śmierdzący czasem ładnie pachnie. Secundo: po Iglickich wzgórzach i lasach lata sobie opowieść o tym, że Rybak zjadł kiedyś złowioną rybę. Żyła jeszcze, uderzała płetwą o stół w gospodzie „Pod Lisim Panem”! Na surowo zeżarł, po czym beknął parę razy, uśmiechnął się tą swoją głupią gębą i powiedział, że była dobra. Ale czy wierzyć tej opowieści, to nikt nie wie. Rybak to Rybak, mówiłem to już i tak zostanie.

Gościńcem od strony przedpola, szedł ksiądz Filip Gryzimszek, człek wielki duchem no i ciałem, gdyż był to pleban na parafii w Jugowicy przez ostatnie trzy wiosny. Słynął z wielkiej dobroduszności zajmując się biednymi i potrzebującymi. Rozumiecie, co do was gadam? Dawał im żarcie, jakieś szmaty i takie tam pomoce inne. Mogę powiedzieć, że dobry z niego człek. Ksiądz ciągnął za sobą wóz, w którym walały się przeróżne rupiecie. Stare ubrania, koce, parę podniszczonych metalowych talerzy, kufle do piwa, kilka małych beczułek przedniego Jugowickiego wina i żarcie. Jedzenia było sporo; udźce baranie, garnki z kaszą i kapustą z grochem, wieprzowe kości z mięsem i wiele innych przysmaków, na których widok aż człekowi ślina cieknie. Zmierzał do Starego Krochlika – miasta niezbyt miłego i przyjaznego, a to z powodu utarczek heretyków. Biją się i zabijają, gwałcą i palą; istne piekło. Ksiądz Filip dostał

przeniesienie, więc akuratnie sobie teraz zrzuci trochu ciałka. Rybak wyłożył się na osuniętym brzegu i dumał jakim to sposobem zdobędzie pozwolenie na budowę kapliczki na swym polu. Był religijny, wierzył w Chrystusa odkupiciela i z pewną miarą rozumiał heretyków. Żył na uboczu; wiedział, że ludziska ze wsi go nie lubią i pogardzają nim. Nie przejmował się tym, choć dostawał czasem tęgie lanie od pachołków z gospodarstw bliżej Bobrówki. A to za to, że brzydki z ryja, a to za to, że źle popatrzył swymi wyłupiastymi oczami, a to za to, że ogólnie istnieje i tak dalej i tak dalej. Dostawał cęgi, aż z podkulonymi nogami leciał do swego domu. Rybak położył lewą stopę, napuchniętą i skrwawioną, na płaskim kamieniu, którego nurt Iglicy obmywał ze wszystkich stron. Głowę z wielką grzywą opadającą na oczy, odrzucił do tyłu. Jego wyłupiastym oczom ukazał się ksiądz idący gościńcem, toż odwrócony do góry nogami. Rybak przekoziołkował na brzuch, odgarnął spocone włosy pełne łoju i widząc Filipa Gryzimszka czym prędzej zza pazuchy wyciągnął bandaż, obwiązał go wokół schorowanej nogi, po czym wsadził ją do wielgachnego buta. Szybko wstał i podreptał na gościniec. Słyszał wiele o plebanie idącym drogą, ciągnącym wóz; jego czoło było całe mokre, nie dawał rady na pełnym słońcu ciągnąć powozu w pełni wyładowanego. Słońce za chwilunię schowa się za zagajnikiem, a to oznacza samiuśkie południe i największy skwar. Ksiądz przystanął, z torby przewieszonej przez pas, wyciągnął białą chustkę i otarł sobie nią twarz. Rybak zauważył, coraz to szybciej zbliżając się do księdza, że chustka z białej zrobiła się granatowa. Filip popatrzył na Rybaka, uśmiechnął się niemrawo, składając chustę.

- Niechaj będzie pochwalon, drogi plebanie – zgrzytliwym głosem, odezwał się Rybak – Toć taka pogoda, gorąc jak skurwydeusz, a pleban kochany z wozem za plecami idzie naszym Iglickim gościńcem?

- Na wieki wieków. Dobrze zauważyłeś, cny gospodarzu. Idę do miasta otoczonego przez heretyków, by wieść dobrą nowinę o naszym panu Chrystusie – Rybak zauważył, że ksiądz wyuczony na uniwersytetach, lepiej składa zdania i ma większy zakres pojęciowy, niż on.

- Toć proponuję, by pleban odpoczął chwilę u mnie. Wóz pomogę zaciągnąć na gospodarstwo, a plebana zapraszam do chałupy, tam na wzgórzu – Rybak wskazał maleńką chatkę na równie maleńkim pagórku.

Ksiądz chwilę pomyślał, podumał i ogólnie ruszył łepetyną, nie to co czasem mieszkańcy Bobrówki. Wedle przekonań Rybaka, byli oni tak głupi, że powinni srać i szczać na wszystko, począwszy od domu po kościół.

- W takim razie, gospodarzu prowadź – słowa te wyrwały Rybaka z mocnej zadumy, po czym z uśmiechem na gębie otoczonej krostami, pomógł plebanowi z Jugowic wtoczyć na pole a następnie pagórek wóz.

Usiedli w jedynej izbie w chacie. Izba zawierała to co najpotrzebniejsze, dla najbardziej niewymagającego. Toż były tam; jedno wielgaśne, zapewne Milnicka produkcja, łóżko, stół stojący jakimś cudem na trzech nogach, parę naście świętych obrazków, dwa okna; jedno na Bobrówkę, drugie na Iglicę, płynącą smętnie obok chałpy. Pleban poczuł zapach wydobywający się od Rybaka i z jego włości. Kultura nakazała mu siedzieć cicho i skorzystać z chwili odpoczynku.

- Może coś przekomsim? – zapytał Rybak – Mam pajdę chleba i parę słojów wybornego Ślężnickiego miodu. A i kapka piwa się znajdzie. - Toż nie potrzeba szukania i przyrządzania posiłku. Na wozie mam sporo jedzenia, więc trochu weźmiemy i przekąsimy. Tak to się odwdzięczę za gościnę – Filip Gryzimszek podniósł swe wielgachne ciało, po czym ruszył w stronę futryny wejściowej. Przyniósł ze sobą garnek kapusty z grochem i jedną beczułkę wina Jugowickiego. Usiedli przy stole, zaczęli jeść, znaczy się; ksiądz zaczął jeść, Rybak żarł aż mu się uszy trzęsły. Przez chwilę panowała cisza, dało się słyszeć skrzeki ptaków latających nad Iglickimi lasami. Pierwszy zagadnął ksiądz.

- Z kim to ja mam w końcu do czynienia, gospodarzu. Przedstawicie się.

- Jam Rybak, plebanie kochany. Tak mnie zwą w okolicy, choć tym, no… rzemiosłem rybackim się nie param. Moje imię prawdziwe, nadane przez mych przodków, znaczy rodziców mych, to Niklas Spano. Mieszkom se tu, na tej ziemi od długich lat. Żyję jak żyję, żrem co żrem. Sprzedaję parę chust, bądź

prześcieradł na Jarmarczym, to com pokoloruje.
- Toś ty, Niklasie, religijny bardzo – pleban popatrzył na ściany i obrazy na nich wiszące, szczególnie wzrok jego padł na płótno przestawiające męczeństwo św. Bartłomieja, gdzie to powieszonego na krzyżu obdzierają żołnierze ze skóry. – Rybaku, opowiedz mi z łaski swej, by czas szybciej leciał, swą historię.
- Bych ja mógł, przy plebanie kochanym?
- Ależ oczywistą rzeczą się staje, że możesz opowiedzieć. A wcześniej, chciałem zapytać, dlaczegoż tak religijny człowiek, mający gospodarstwo, nie ma na nim kapliczki?
- Toż właśnie chciałbym ją mieć. Ale ludzie z Bobrówki mi nie pozwalają. Nawet chodzić tam nie mogę. Nie lubią mnie, oj nie.
- Umówmy się Niklasie. Ty opowiesz mi swą historie, a ja porozmawiam z odpowiednią osobą w Bobrówce, by pozwolili ci postawić kapliczkę, zgoda?
Rybak uśmiechnął się, i począł całować plebana po rękach.
- Nie trzeba, nie trzeba. Rybaku, usiądź przy stole, albo najlepiej przynieś tego swojego piwa. Z chęcią się napiję słuchając tego co masz mi do powiedzenia – Niklas Spano szybciutko podreptał po piwo. Przyniósł je w wielkim dzbanuszku, a pachniało przednio.
- Toż nie wiem od czego zacząć, plebanie kochany. Aż z tego podniecenia całego, zacznę od początku, znaczy od małego jakżem był. Jednym słowem, za przeproszeniem plebana kochanego, gówno pamiętam. Wiem ino, że w Garbowie się wychowałem. Pamiętam jak matka i ojciec harowali w polu, przy gospodarstwie. Jo latał po gościńcach frywolnie, klepiąc panny po dupskach i ogóle bawiąc się w najlepsze. Tyle co pamiętam jeszcze, to że ojciec kazał mi na giermka iść, do jakiegoś Pokonickiego rycerza. Żebym w końcu dupę wziął i ruszył pracować no i zobaczyć trochę świata. Grosza zarobił, panne znalazł, dzieci jakichś narobił i żeby żyło mi się lepiej niż moim rodzicom, co to w polu całe życie. Wprzódy wyśmiałem ojca, za tak głupi pomysł. Potem zobaczyłem jak paru chłopoków ze wsi idzie do Pokonic, by zaciągnąć się jako giermek. No i pożegnawszy się z gospodarstwem całym, ruszyłem w drogę, mając na ramionach torbę wypchaną żarciem i troszeczką picia. Na gościńcu nikogo nie było, jak to zwą w Bobrówce, cholernie pizdnięta cisza nastała. I tak też to było. Cisza taka, jak makiem zasiał. Nic nie wydawało jakiś skrzeków, niczego. Toż ja zdziwiony byłem, ale pomyślałem, że nie będę się zadręczał byle czym; ruszyłem naprzód. Zgubiłem rachubę czasu, słońca nie było widać, zasłaniały je wysokie świerki i inne tam choiny. Na trakcie napotkałem na wóz. Stał sam na środku, nie miał koła po prawej stronie. Koni nie było. Pomyślałem, że może uda mi się coś ciekawego znaleźć w środku, toż otwarłem drzwiczki, a tam chłop chędoży babę. Jako mały chłopek nie wiedziałem cóż on robi. Z ręką trzymającą drzwiczek, patrzyłem jak sapią i wyją. W końcu chłop mnie zauważył. Był stary jak piernik, miał tak strasznie dziwną mordę, że aż się przestraszyłem. Baba nie lepsza była, toć brzydka jak noc. Brzydal wstał, naciągnął spodnie, zaciągnął pasa i za mną chyc. Ja na to zamknąłem drzwiczki, pewno trafiając chłopa w ryj i spieprzam, za przeproszeniem plebana kochanego, do krzaków przy gościńcu. Skurwydeusz biegł za mną, a ja dziwiąc się co on ode mnie chce również biegnąłem przed siebie, skacząc na korzeniach i uważając na swą dupę, by nie upaść na mokrą ziemię. I wtenczas, nie zauważyłem rzeczki, ale zdołałem przeskoczyć strumyk w ostatnim dogodnym dla mnie momencie, a za sobą usłyszałem plusk wody i wydobywające się nowo poznane przeze mnie przekleństwa. Nie obracając się biegnąłem dalej, czym prędzej, przed siebie. Dotarłem do starego cmentarza u stóp wzgórza. Na ziemi walało się parę grobów, poprzewracane nagrobki utrudniały przejście pod wzgórze. Parę krypt było otwartych i wyzierała z nich jakaś taka ciemnota i zabobon. Byłem zmęczony, więc usiadłem na jednym z grobów, patrząc na stok obrośnięty jakimiś roślinami. Nie wróciłem już na główny trakt. Pozostałem odpocząć na cmentarzu. Nigdy o nim w okolicy nie słyszałem. Byłem padnięty, zjadłem kawałek chleba, popiłem wodą i położyłem się spać. Sen miałem dziwny. Bardzo dziwny. Z tego co pamiętam, to było tak; znalazłem się w Pokonicach. Znalazłem odpowiedniego rycerza, który zaproponował mi najpierw bycia paziem. Łaziłem tu i tam, pomagając mu. Awansowałem na giermka, tu już miałem więcej

korzyści. Pucowałem mu codziennie zbroje, zajmowałem się koniem, ogólnie było miło. Dostawałem żarcie i żyło mi się tak przyjemnie, że nie chciałem za nic w świecie zostawać potem rycerzem. Miałem już z dwadzieścia wiosen, gdy zbóje napadli na mnie i mego rycerza, któremu służyłem. Imienia nie podam, bom zapomniał z nerwów chyba. Napadli nas, rozgromili zaprzęg. Uciekli z końmi, zostawiając nam jednego i ciężko ranili mego towarzysza. Toć ja dobry człowiek, tym bardziej dla kogoś kto mnie utrzymywał, pomogłem mu na ile umiałem, a ciachnęli go pod żebra i zawiozłem na jednym koniu do najbliższej osady. Tam opatrzyli go, ale niezbyt skutecznie, bo rycerz zmarł w parę dni potem. Dostałem po nim to co miał. A miał sporo. Czarną, matową zbroję, długi miecz z wygrawerowanym napisem - Sulima. Toż ja nieprędce ucieszony tym, dostałem com dostał i ruszyłem w drogę. Ubrany w przepiękną zbroję czarną, z mocnym i silnym koniem, pojechałem do miasta. Tu dużo nie pamiętam, jakieś zawojowanie w głowie, a co do wojowania, to następne co było to bitwa. Wielka bitwa na ogromnych polach. Krew, krzyki, wrzaski, pot i piasek sypiący się z podków koni. Czułem ten, no… strach. Jakieś armaty pamiętam na wzgórzach stały. Barwy to nasze pamiętam, biały i czerwony, a tamte to jakieś takie nijakie. Następnie dużo krzyży, złotych krzyży. I cały czas wrzask i tętent koni, biegnących na krzyże. Tak, dziwny to sen, kochany plebanie. Potem nastała cisza i radość wielka. Krzyki i płacze radości wznosiły się w niebo, gdzie to już słoneczko zachodziło. Potem jakieś walne zebranie pamiętam. Turniej rycerski i króla naszego siedzącego obok. Kolejne krzyki zwycięstwa i chwała, którą dostałem od ludu. Wiwaty na moją cześć, okrzyki radości i płacze kobiet. Potem jakiś sobór pamiętam. Masa ludzi i ja, wypowiadający się na temat heretyków naszych. Plebanie kochany, ja tam potrafię zrozumieć heretyków, proszę mi to wybaczyć. Co dalej było tom się dziwował. Bom obudził się na cmentarzu. Tym samym na którym położył się wcześniej, jako mały chłopiec. Teraz budząc się miałem na sobie czarną zbroję i miecz, obok na nagrobku leżała tarcza. Z herbem przedstawiającym dwa czarne orły i barwy żółte i czerwone. Byłem starszym i zmęczonym chłopem, który nie wiedział co się stało. Ruszyłem przed siebie. Konia nie miałem, toć na nogach lazłem do najbliższej wsi. Ludzie się na mnie dziwnie patrzyli, niektórzy gratulowali, niektórzy patrzyli się tak, jakby mnie chcieli spalić na stosie. Od bardzo miłego jegomościa, dostałem konia. Już nie tak dobrego, jakiego żem miał, ale równie dobrego i szybkiego. Wsiadłem i pognałem po głównym trakcie przed siebie. Jedzenia miałem sporo jak i picia. Na małej polance zrobiłem sobie odpoczynek, zjadłem co nieco i popiłem. Zacząłem dumać, jakim to cudem udało mi się zdobyć to wszystko. Czy to jakieś czary, jakieś sztuczki magiczne heretyków, po to tylko by mnie na Inkwizycje zaciągnąć. Nic nie rozumiałem, a i dumać długo nie mogłem. Z lasu wybiegli zbóje. Dwóch pędziło na koniach, jeden miał miecz oburęczny a kolejnych pięciu długie bale z drewna, zakończone metalowymi, połyskującymi na słoneczku, kolcami. Tyle co pamiętam, to własny ból głowy i nagość. Zostałem obrabowany ze wszystkiego com miał. Ruszyłem obolały przed siebie i trafiłem tu, do Bobrówki. Przyjęła mnie rodzina mieszkająca w tej chałupie, bym pomagał przy rodzinnym interesie, jakim jest kolorowanie tkanin. Tom się zajmuje cały czas tym. Rodzina umarła, zostawili gospodarstwo i chałupe no i interes. Nikt ich we wsi nie lubiał, toć mnie teraz nie lubią. Żyje tak jak żyje. Żrem to co żrem. Czasem mnie nachodzi zastanowienie, co to się działo w mej przeszłości. Czy to czary, czy magiczne sztuczki. A Rybak mnie nazywają, bom rybę połknął w całości jak żywa była. To tyle opowieści z mojego życia, drogi księże plebanie kochany.

- Niklasie, toś przeżył swoje. Dziwna i ciekawa opowieść to była. Ale na mnie już pora. Trzeba się wybrać do wsi, powiedzieć o kapliczce i zbierać się w dalszą podróż do heretyków – Filip Gryzimszek wstał, rozciągnął się po czym ruszył w kierunku drzwi – Rybaku, powiedz mi ino, gdzie tu wychodek, bo strasznie mnie ciśnie na lędźwia.

Niklas pokazał gdzie miejsce owo leży, a sam zaczął sprzątać stół. Pleban wychodząc z wychodka, który to znajdował się na zewnątrz chałupy, zauważył na tyłach domu opartą o ścianę starą tarczę z dziwnym herbem.

- Toć Sulima – powiedział sam do siebie, uśmiechnął się szeroko i udał się na pożegnanie z Rybakiem.

Niklas uściskał plebana serdecznie, choć ten odsuwał się od niego niepozornie, by nie pachnieć podobnie. Ksiądz wziął wóz i zjechał ze wzgórza na gościniec, skręcił w stronę wsi. Za swymi plecami usłyszał głos Rybaka .
- Toć nie ja zeżarł tą żywą rybę!
Dochodząc do Bobrówki, kanonik został grzecznie przywitany przez wiśniaków stojących przy bramie zachodniej, po czym udał się do zarządcy, który sprawował jak sprawował władzę we wsi. Usiadł w fotelu, poczęstowany winem. Naprzeciwko niego, zza wielgachnego stołu dębowego siedział zarządca. Gruby, niski człowiek. Rozmowę zaczął pleban.
- Witam, szanownego pana. Pofatygowałem się tu, z jedną jedynie rzeczą. Otóż, chciałbym poruszyć sprawę kapliczki, którą nazywany przez was Rybakiem człowiek, chce postawić na swym polu.
- Och, proszę się nie przejmować nim. To idiota i śmierdzący pajac. Nic nie gada, jest głupi jak but. Niech ksiądz nie mówi, że u niego bywał. - A to już moja sprawa. Proszę tylko o podpisanie przy mnie dokumentu, zezwalającego na wybudowanie kapliczki na jego polu.
- Ależ to nie dorzeczność! On jest idiotą!
- W takim bądź razie, jestem zmuszony poinformować kurię w Jugowicy. Wtedy się posracie, na samą myśl, że tu ktoś inny może przyjechać. Także, proszę teraz brać kartę papieru i pisać dokument. Tu teraz przy mnie.
- Rozumiem, plebanie, że jest ksiądz zdecydowany i pewny tego co robi?
- Jeślim pewny bym nie był, to był dupy wam nie zawracał. Pisać i to już.
Dokument został sporządzony. I wysłany poprzez parobka, który nie za bardzo się uśmiechał na myśl, że musi iść do Rybaka.
- Będę tędy wracał za rok niecały. Jak nie zobaczę tej kapliczki na jego polu, to wtedy się przekonacie, czy warto zadzierać w tych czasach z kościołem.
Pleban Filip Gryzimszek wyszedł z chałupy zarządcy i udał się w stronę wschodniej bramy. Dogonił go niski, gruby człowiek, który sprawuje władzę we wsi Bobrówka. Był cały mokry od potu, dyszał jak pies, który został zostawiony na upał i działanie słońca.
- Proszę księdza! Jedno pytanie do plebana. Dlaczego należy mu się ta kapliczka?
- Jacyś wy głupi jesteście. To on powinien być zarządcą, sprawować tu władzę. To on powinien dostawać tu honory i chwałę, bo człowiek to niezwykły.
- Któż to jest, plebanie, któż? – zaczął krzyczeć zarządca.
- Zawisza Czarny, kretynie. Zawisza Czarny z Grabowa.
Po tych słowach, kanonik oddalił się od będącego w ciężkim szoku zarządcy. Poszedł traktem na wschód, głosząc dobrą nowinę do w jakimś stopniu zrozumiałych heretyków.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Adhar, dodano 15.08.2011 21:26

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.